

EVA RUBINSTEIN – klisza fotograficzna jest bardzo podobna do partytury

Dlaczego nie została Pani muzykiem, tak jak Pani ojciec?

Nie miałam talentu do gry na fortepianie, to było bardzo smutne dla mojego ojca. Nie mógł zrozumieć, że jego dziecko nie ma wrodzonego talentu w tym kierunku. Muzykę zawsze ubóstwiałam, tylko nie umiałam jej wykonywać. Miałam za to talent do tańca, byłam baletnicą, a później aktorką w jednym z nowojorskich teatrów. Kiedy wyszłam za mąż i zajęłam się wychowaniem dzieci, zaczęłam pomagać fotografowi teatralnemu przy obróbce zdjęć z przedstawień. Wtedy to po raz pierwszy znalazłam się w ciemni fotograficznej i zobaczyłam, jak powstaje fotografia. Wywołało to moje wielkie zdziwienie, można powiedzieć szok. Uświadomiłam sobie, że przez fotografię mogę wyrazić wszystko co widzę, myślę, czuję, nie korzystając z pomocy reżysera, choreografa, sceny, światła, scenariusza, kostiumów, tłumacza, po prostu bez słów, zresztą bardzo podobnie jak przez muzykę. Fotografię można robić i pokazywać wszędzie, a klisza fotograficzna jest bardzo podobna do partytury. Dzisiaj kopiuje się ją tak, a po dziesięciu latach odmiennie, bo myśli się i widzi inaczej. Za każdym razem można z niej wydobyć inne obrazy, inaczej zinterpretować.



Aniela Młynarska-Rubinstein
z córką Evą Rubinstein

Tak, ale żeby umieć tak wykorzystywać fotografię trzeba być bardzo wrażliwym, mieć dużą wiedzę o sztuce...

W czasie częstych podróży z ojcem pierwszymi miejscami, które zwiedzaliśmy w nowych miastach były muzea, teatry, nie tak jak to teraz bywa – restauracje. Ojciec i matka szalenie cenili sztukę, zbierali obrazy, książki, różne dzieła sztuki. Przez wiele lat patrzyłam na najlepsze obrazy, byłam chyba w każdym muzeum w Europie. Nauczyłam się tam, chociaż sama o tym nie wiedziałam, o światłach, kompozycji i wielu innych sprawach, których nie musiałam się już uczyć, kiedy zajęłam się fotografią. Tkwiło to gdzieś we mnie. Nie byłam wtedy młoda, miałam 34 lata. Przeżyłam kawał życia, miałam różnego rodzaju doświadczenia i chyba coś do powiedzenia. Wszystko to razem spowodowało, że miałam solidne podstawy do wypowiedzania się nowym językiem, jakim była dla mnie fotografia.



Jak Pani się czuła w Teatrze Wielkim po latach nieobecności?

Strasznie się wruszyłam, kiedy czekając w kolejce do szatni w Teatrze Wielkim zobaczyłam ogromną tablicę poświęconą mojemu dziadkowi Emilowi Młynarskiemu i napis informujący o sali jego imienia. Popłakałam się, przypominając sobie uroczystość odsłonięcia tablicy, kiedy byłam tu razem z mamą.

A spektakl?

Samo przedstawienie bardzo mi się spodobało. Wielokrotnie widziałam Don Giovanniego, ostatnio latem na festiwalu w Sazburgu. Było ono dla mnie fatalne, tak mnie zasmuciło, że nawet w nocy nie mogłam zasnąć. Za to warszawskie przedstawienie jest bardzo interesujące. Szybko mi upłynęły prawie cztery

godziny spektaklu i nie nudziłam się. Muzycznie jest świetnie przygotowane przez dyrektora Jacka Kaspzyka, a z solistów najbardziej podobał mi się pan Mariusz Kwiecień. Bardzo dobrze zaprezentował się jako aktor, wyglądał – mówiąc nowocześnie – super, a śpiewał wprost fantastycznie. Słyszałam, że również bajecznie prezentuje się w Eugeniuszu Onieginie. Może podczas następnego przyjazdu do Polski uda mi się zobaczyć tę operę z jego udziałem. Inni artyści też mi się podobali, ale już nie tak. Duże wrażenie na mnie zrobiła scenografia i gra światła. Interesująca jest ciemna scena z oknami i drzwiami, bardzo przemawiająca do wyobraźni. Ciekawa scena to również ta z lustrami i światłowodami zwisającymi jak sznurki. Było ich w rzeczywistości około czterdziestu, specjalnie policzyłam, a wyglądało jakby ich było tysiące. Kostiumy są bardzo ciekawe, oryginalne i wcale nie były tak nowoczesne, jakby się w pierwszej chwili wydawało. Były w stylu komedii dell'arte. Jedyne kostium, który mniej mi się spodobał to Zerliny, ten z piórkami. Wszystkie jednak przemawiały do mnie. Musimy jednak pamiętać, że Don Giovanni jest bardzo trudną operą, pomimo fantastycznej, pięknej muzyki Mozarta łatwiej jest z niej zrobić koncert niż spektakl. Nie jest rzeczą prostą, żeby pokazać ją tak, aby wszystko było spójne i miało głębszy sens.



Eva Rubinstein urodziła się w 1933 w Argentynie podczas tournée koncertowego ojca. Jest córką słynnego pianisty, Artura Rubinsteina i jego żony, Anieli Młynarskiej Rubinstein (autorka jednej z najśłynniejszych polskich książek kucharskich pt. „Kuchnia Neli”). Rodzice przez lata mieszkali w Łodzi, jednak rodzący się faszyzm oraz kariera ojca (koncertował w najśłynniejszych salach na świecie – m.in. w Carnegie Hall w Nowym Jorku) spowodowały, że rodzina Rubinsteinów podróżowała nieustannie po świecie. W paузach między kolejnymi podróżami mieszkała w Paryżu.

Gdy wybuchła II wojna światowa, wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, gdzie w Nowym Jorku ukończyła szkołę baletową, a później występowała jako aktorka (grała m.in. w pierwszym wykonaniu na Broadwayu „Dziennika Anny Frank”, kilka razy wystąpiła w nie-

dużych rólkach w filmie, m.in. w „The Cross of Lorraine” z 1943 roku), aktorem był też jej brat, John.

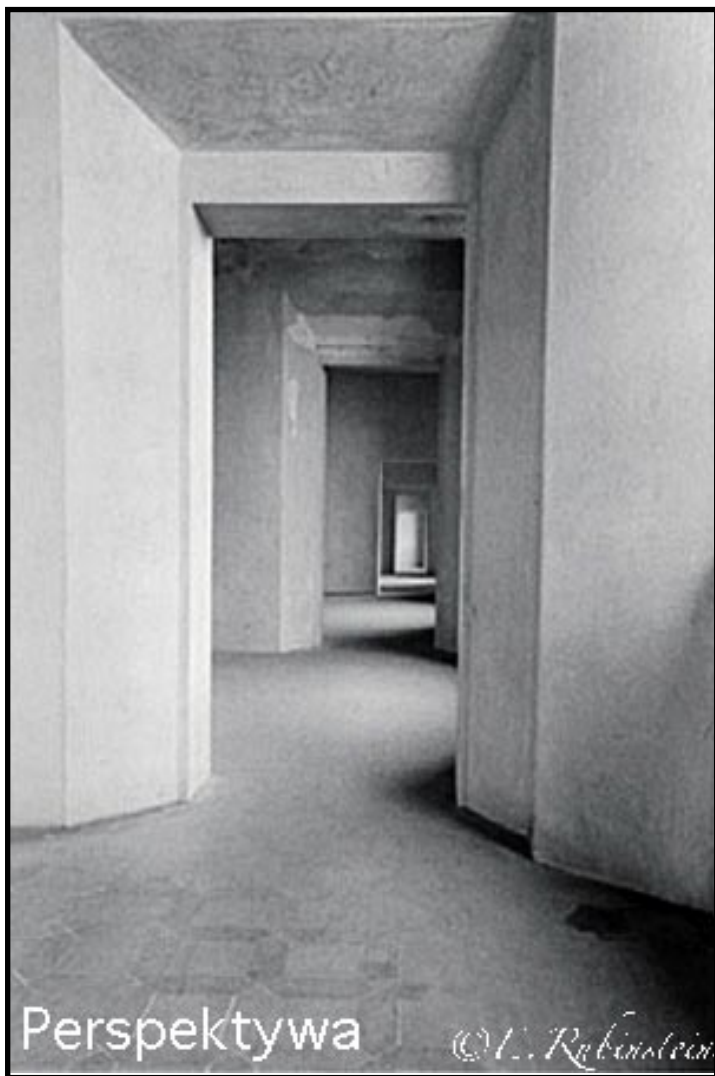
W 1956 roku wyszła za mąż za pastora Williama Sloane Coffina Jr., obrońcę praw człowieka i pacyfistę. Jeździła z nim po kraju, organizując pacyfistyczne demonstracje. W 1968 roku rozwiodła się (ma z tego małżeństwa troje dzieci) i od tego właśnie roku datuje się jej miłość do fotografii. Uczyła się fotografii najpierw od znanego w Nowym Jorku twórcy Seana Kernana, później rozpoczęła studia w New York Institute. Brała też udział w warsztatach prowadzonych m.in. przez Diane Arbus. Początkowo traktowała robienie zdjęć komercyjnie, jako sposób zdobywania środków na życie. Z czasem, gdy okazało się, że poprzez fotografię może pokazywać swoje emocje, coś bardziej ulotnego, zajęła się fotografią określaną mianem „osobistej”. Rzeczywiście uderzające jest to, jak bardzo osobiste wydają się te prace, mimo że w żaden sposób nie dotyczą autentycznego życia artystki.

Eva Rubinstein ma na swoim koncie blisko 100 wystaw indywidualnych i ponad 90 zbiorowych; dziś jej zdjęcia znajdują się w kolekcjach takich instytucji, jak: New York Metropolitan Museum of Art, International Center for Photography, Library of Congress, Bibliotheque Nationale w Paryżu, Israel Museum, Hermitage Foundation Museum. Jej zdjęcia pochodzą z wielu zakątków świata – z USA i krajów Europy, wiele z nich powstało też w Polsce, którą artystka wielokrotnie odwiedzała. Fortepian Chopina w Żelazowej Woli sfoto-



Dłonie poety, Nowy York, 1980

© E. Rubinstein



Perspektywa

© L. Rubinstein



Cela Van Gogha, Arles, 1984

© L. Rubinstein

grafowany przez córkę jednego z najwybitniejszych interpretatorów muzyki tego kompozytora – to dzieło prawie symboliczne. W 1998 roku wydany został album także wiele dla artystki znaczący – „Łódź – chwilowe spotkania” – jej fotograficzna opowieść o rodzinnym mieście rodziców.

Od kilku lat już nie fotografuje, ale wciąż patrzy na świat okiem fotografa, wybierając z niego najpiękniejsze i najbardziej optymistyczne kadry.



© Juliusz Multarzyński
multarij@eko.net.pl